Nr. 14. We Lwowie dnia 7. kwietnia 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

1)

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Pewnego dnia...

O świcie,
— o majowym wczesnym świcie, w małym domku, przywartym do ziemi pokrzywionemi ścianami, otwarło się okienko i w obramieniu fuksji rozkwitłych zamajaczyła siwa głowa i zaszemrał cichy, monotonny głos.

Pan Pliszka odmawiał pacierze poranne.

Miasto spało jeszcze.

Senne i ciężkie mroki przygniatały świat ciszą tą dziwną, roztęsknioną, łzawą ciszą świtania...

Domy, fabryki, ogrody, — kłębowiskami ciał bezwładnych i nieprzytomnych, majaczyły w mrokach; tylko gdzie niegdzie: na dachach, w oślepłych oknach, na czubach drzew — ślizgały się brzaski zórz, jakby uśmiechy śniących, jakby spojrzenia zamglone marzeniem, jakby rumieniec trwogi przed dniem, który się już czołgał w przestrzeniach, już się chwiał na krawędziach nocy i zielonemi oczami troski obejmował ziemię.

Cicho było.

Modlitwy pana Pliszki szemrały jak młode liście brzóz, a z domów, zgubionych w ciemnościach, z rynien niewidzialnych, opadały ciężkie krople rosy i biły mocno w dach domku; biły monotonnie, bezustannie... usypiająco...

Pan Pliszka kończył pacierze i mocno bił się w piersi.

— Kruczek!

Pies cicho przybiegł z głębi ciemnej izby i wskoczył na parapet okna...

Klęknij durniu! Służ! Patrz tam! Tam jest durniu, Pan twojego pana, rozumiesz?

Kruczek zawarczał, usiadł na ogonie, oparł się grzbietem o fuksje i bezmyślnie patrzył w ciemność.

— Nie oszukuj Pana Boga! Mądrala! będzie się podpierał!

Ale Kruczek już nie słuchał pana Pliszki, zeskoczył na podwórze i szczekał pod bramą.

— Ciemnem i głupiem zwierzęciem tylko zostaniesz! — mruknął z goryczą, wynosząc zegarek do okna. Zdumiał się, bo była dopiero czwarta; nigdy się tak wcześnie nie budził.

— Chory jestem, czy co?... Półtorej godziny do fabryki.

Położył się cicho na łóżku, aby nikogo nie budzić i leżał tak dosyć długo, z drugiej izby rozlegało się donośne chrapanie kilku śpiących, a od trzeciej, maleńkiej, dochodził częsty kaszel...

— Buty ma dziurawe i kaszle! — pomyślał i wstał, bo świt już zaglądał w okno i rozbielał wnętrze izdebki.

A w przestrzeniach wrzał cichy a śmiertelny bój z dniem zwycięzkim. Pan Pliszka siedział w oknie i machinalnie przesuwał ziarna różańca, machinalnie powtarzał pacierz i nasłuchiwał...

Jaskółki zaczęły słodko szczebiotać nad oknem, jakby modlitwę do zórz coraz jaśniejszych, i do dnia...

Ziemia, jakby się prężyła ze snu, a sadzawki fabryczne, niby oczy pokryte pasmami mglistych bielm, otwierały powieki zmroków i patrzyły sennie po przez rzęsy topól pochylonych nad niemi.

Czerwone mury fabryk ociekały rosą i drgały w brzaskach, jakby dreszczem przebudzenia. Długie szyje kominów fabrycznych, niby żórawie, czuwające nad stadem dachów, wyciągały w blaskach świtania dzioby czerwone i piły światło...

A długie błotniste drogi, ścieżki, rowy, szyny kolejowe, strugi wody, ulice czarne jeszcze — pod mgłami oddechów prostowały zmęczone, przepracowane ciała, przeciągały się sennie i zapadały w ciężkie, odrętwiające marzenie o długiem odpocznieniu, o śnie długim... długim... I pan Pliszka marzył; przesuwał różaniec, szeptał modlitwy, błądził oczami po konturach domów — ale nic nie widział zatopiony w sobie, w jakiejś ciężkiej mgle myśli porwanych na strzępy, w tumanie uczuć rozpierzchłych, w chaosie dziwnych drgnień duszy, dziwnych błysków, przeczuć, słów, obrazów, niepokojów... Kłębiło się w nim i rozrastało coś, czego zupełnie nie rozumiał. Czuł tylko, że przenika go głucha tęsknota — ale za czem?... Nie wiedział, jak nie wiedział nawet nazwy tego uczucia, które mu serce rozprężało...

Drzewa w pewne dni marcowe, w straszne dni słoty i zimna i wichrów, tak samo tęsknią ale drzewa tęsknią do wiosny i słońca, a ludzie? Ludzie jak drzewa, wiecznie konające, za tem, co było... tęsknią i płaczą...

Pan Pliszka ocknął się, bo w mgle szarości, zapełniającej podwórze, rozległ się ostry, długi, monotonny skrzyp...

— Antoni! — pomyślał.

Tak, to był Antoni, stary robotnik, któremu kiedyś wybuch kotła wyparzył oczy, a który teraz pompował wodę na piętra, ciągnął ją kołem ogromnem. Widać go było w brzasku świtania, jak po za szybą zmatowaną, pochylał się automatycznie, równo, jednakowo, niby wierne ludzkie wahadło...

A koło skrzypiało przeciągle, jęcząco, krzykiem spracowanego żelaza... A kruczek namiętnie szczekał na starego kundla, który przyprowadzał ślepca do roboty.

Pan Pliszka nie mógł się dzisiaj doczekać gwizdawki.

Poszedł do kuchenki i po cichu rozpalał ogień na kominku.

— Czy to już czas? — zapytał głos z kąta przysłoniętego parawanem.

— Jeszcze, cichocie pani, bo się chłopie obudzi...

Poszedł do drugiego kąta, gdzie stał drugi parawan; tam spał chłopiec, na stoliku było pełno porozrzucanych książek i kajetów, tornister leżał na ziemi, a mundur pod stołem.

Pan Pliszka posprzątał wszystko i poskładał, popatrzył na czerwoną, śpiącą twarz chłopca, uśmiechnął się dziwnie i zabrawszy jego buty poszedł je czyścić. Na dworze przed domem je czyścił, żeby nie zbudzić nikogo. Buty były mizerne, smutne buty sztubaka pełne ran, szwów i łat, — liryczne buty nędzy, bez podeszew, wierzchów, obcasów, a z dumnie sterczącemi jedynie całemi uszami. Pan Pliszka je reparował i czyścił z miłością prawdziwą i tym swoim dziwnym, pełnym słodyczy uśmiechem starego psa.

Dzień już szedł wielkiemi krokami, bo już okna na czwartych piętrach były różowe, na trzecich białe, na drugich szare, jakby z mgły lodowatej, a na pierwszych połyskiwały twardym, zimnym blaskiem polerowanego bazaltu.

— Trzeba mu kupić buty — pomyślał i drgnął gwałtownie, bo ochrypły, przeraźliwy głos gwizdawki fabrycznej rozdarł ciszę.

W izbie powstał gwałtowny ruch wstawania; cztery postacie zamajaczyły na tapczanach i pospiesznie szykowały się do roboty.

— Coś mi jest! — pomyślał pan Pliszka i przyspieszył kroku, bo już z kotłowni buchały czerwone płomienie ognisk, a światła błyskały w dolnych salach fabryki.

Stanął na codziennym posterunku, przy windzie, pochwycił drucianą linkę i czekał na sygnały...

Sale były jeszcze ciche, zmroczone, zalane na dole elektrycznem światłem a w wyższych piętrach przesycone mdłymi brzaskami dnia, w których majaczyły potężne korpusy maszyn — niby stado bydląt potwornych, leżących bezwładnie, a przyczajonych jakby do skoku. Pasy i transmisje zwieszały się ciężko, niby żyły wyprute, niby ramiona sennie opuszczone.

Robotnicy wpadali do sal pospiesznie, witali się skinieniem, oglądali tępo po salach i przywierali do maszyn cicho i pokornie, z jakąś uległością bojaźliwą. Niedokończone w drodze pacierze, brzmiały gdzie niegdzie w pośród żelaznych szkieletów maszyn, gdzie niegdzie rozmowa, czasem trwożny głos zabrzmiał głośniej, ale przycichał natychmiast, tylko zmęczone spojrzenia biegały ku oknom, po za któremi stały zielone drzewa, ku polom, jakie widać było pokryte młodą runią zbóż, ku lasom dalekim, dalekim... ku słońcu ciepłu, powietrzu, swobodzie... (C. d. n.)

O KRZYŻAKACH.

Przez

Marję Konopnicką.

10)

Wiadomo, „wojna jak uczta“. Ciągną na nią wozy ładowne i „kowane skrzynie“, w których wszelakiego bogactwa dość. Więc tylko po tych, co przedniejszych łbach poglądać, a płatać, a łup godny brać, choć i jeniec ważny też dobry, bo za nim okup idzie. Nie wieje zasię wiater wojenny od zachodniej strony, tylko od wschodniej, to choć „koniuchów tatarskich“ natroczyć można, i puszczę niemi zaś trzebić, a „przyczyniać ziemi“.

Bo na ziemię jest Maćko chciwy po ludowemu, po chłopsku; w tem przecież od prostego gbura różny, że mu nie o byle zagon idzie, ale o ten, który do gniazda rodowego mu przyrasta, ztąd tak przedziwnie mu pachną owe przyległe Bogdańcowi nowizny, na których tymczasem Wilkowi owsy wschodzą. Dewizą jego jest: „co ojcowie dzierżyli i nam toż to dzierżyć“. Jakoż dziedzictwa, choć chudego, nie puszcza z garści, gdy je spustoszyły domowe zamieszki, ale w zastaw

da, a sam opasawszy się mieczem w świat rusza, póki miła wojna wykupu nie przyniesie.

Wszakże nietylko męztwem, ale i „chytrością“ przebija się Maćko przez życie. Co tyleż właśnie znaczy, że mu na przebiegłości i sprycie nie zbywa. O mądrości też swojej ma duże rozumienie.

— Nie dziw, że mi się ludzie radzą, — mówi w spokojnem uznaniu dla samego siebie.

„Chytrość“ Maćka, oparta jest na przewidzeniu przyszłych konjunktur, i na liczeniu się z ludzką słabością.

Kiedy w tę słabość ugodzić trzeba, podejmie Maćko pod nogi Opata raz, drugi, i trzeci, i, co rad jada, a pija się dowie, by lżejsze warunki wykupu zjednać sobie. Ba, zaryzykuje nawet trzosa, choć mu on piszczy w ręku, obliczywszy, iż gotowość wypłacenia całej zastawnej sumy, tak zaskoczyć może Opata, iż w wspaniałomyślność uderzy. Także i „godny puharek“ podaruje Maćko Krzyżakowi, miarkując, że gdy obóz w ręce polskie wpadnie, to i puharek zaś mu się powróci, a teraz przecie Krzyżaka mu zjedna.

Ale najwyższym kunsztem Maćkowej chytrości, jest owo wyprawienie się do gniazda Wilków w Brzozowej, które przeciw Zgorzelicom po śmierci Zycha, naprawdę wilczem gniazdem okazać się mogło, i oddanie sierockiego dobra w opiekę staremu Wilkowi, choć się z nim z dawna o nowizny darł. No i prawda! Wilk się najpierw zdumiał, potem zawstydził, potem ujętym się poczuł i wszystko poszło jak z płatka.

Albo te sztuki mądrości, żeby Zbyszkowi Jagienkę naraić — (ile że za nią Moczydoły szły!) — a obrzydzić mu — gdyby się dało — „Kaczego kłapaka“, — czy to nie chytrość? Czego on tam ten stary Maćko nie próbuje na tych podjazdach o Zbyszkowe serce, i złością i dobrocią z niem wojując, aż do przepysznego łgarstwa, że sam uderzy o dziewczynę, po której „aże w izbie pachnie“.

Czasem jednakże chytrość Maćka chybia. Tak chybiona jest cała podróż Jagienki w pacholikowem przebraniu i całe to podwożenie jej Zbyszkowi na wypadek, „czego Boże nie daj, ale jakby co“... Otóż tę niedość jasną sytuację, bardzo słusznie ocenia prostym swym rozumem Hlawa, gdy mówi, że to „wszystko do niczego“. Ale chytrość Maćkowa bywa także i pozorem tylko, pod którym jego rozmiłowane w ostatnim z rodu serce chce się ofiarować samo. W pozór ten wszakże Maćko radziej, niżeli w rzecz, wierzy.

Tak, gdy namawia Zbyszka do ucieczki z więzienia, gotów za niego sam zostać, a Zbyszko nie przyzwala.

— Słuchaj, chłopie! woła rozsierdzony Maćko. — „Szkoda mi twojej głowy, ale rozumu nie szkoda, ile żeś głupi, — jak cap!“

Tak dalece sam w to wierzy, iż ta zamiana, to nie tyle ofiara własnej głowy za głowę bratanka, ile przedziwna sztuka „chytrości“, której Zbyszko, przez głupotę tylko, zrozumieć nie może.

Jest przecież sfera uczuć i czynów, w której „chytrość“ Maćkowa, jako broń niedostateczna ustaje, a zaczyna się śmiertelna prostota rozcinającego zawikłanie — miecza. Do takiej sfery należy w pierwszym rzędzie zaprzysiężona odpłata pomsty na srogim i pysznym komturze.

Na godzinę tej odpłaty czeka Maćko „do siwego włosa“. Lecz gdy godzina uderzy, twarz starego władyki ściągnie się, skurczy złowrogo i „stanie się zupełnie do paszczy wilczej podobna“. Wtedy Kunon Lichtensztein, przygnieciony potężnem kolanem bogdanieckiego rycerza, naprożno zacharcze:

— „Daruj“!

— „Nie!“ — odpowie nieubłagany Maćko, i przyłoży mu mizerykordję do szyji, i pchnie dwukrotnie i nie powstanie mu z piersi, aż uczuje pod sobą śmiertelne wyprężenie się martwego ciała.

Bo ten Krzyżak, to nie przeciwnik wojenny, którego życiem darować i okup za niego wziąć można. To nawet tej chwili nie Niemiec, następujący na „zacne królestwo“. To wróg przyszłości, wróg — rodu. To kat, co ostatniemu z rodu żywot chciał odjąć i zetrzeć na nim ród — z oblicza ziemi.

Więc tu się kończy i wszystko ustaje: i miłosierdzie, i chciwość i „chytrość“ ona sławiona, a dusza Maćka wygląda z swych głębin przez tę twarz srogą, skurczoną, „do paszczy wilka zupełnie podobną“, do paszczy wilka, strzegącego gniazda. Bo jeśli w kim, to w Maćku czucie rodowości jest tak potężnem, jak sam płomień życia. Ród — to przyszłość. Nietylko przyszłość Gradów, lecz przyszłość „narodu“.

I oto słowo zagadki wszystkich spraw i żywota rycerza z Bogdańca. On i na ziemię chciwy nie dla siebie, lecz dla rodu; i dla rodu, nie dla siebie błyski sławy mieczem krzesze. Dla rodu, nie dla siebie wznosi „kasztel“ i gromadzi dostatek; sam w starem domostwie trwając, a „dzierżąc, co dzierżyli ojcowie“. I Zbyszka też miłuje jak własną duszę, i drży o niego, i gotów głowę za niego położyć, iż się w nim ród przedłuża.

(c. d. n.).

ELECTRA.

Benito Pever Galdos, którego nazwisko wskutek obecnych zaburzeń antyklerykalnych w Hiszpanji, nabrało wszechświatowego rozgłosu — jest dzisiaj jednym z najwybitniejszych pisarzy swego kraju. Urodzony w roku 1845 — w Las Palmas — dał się poznać przedewszystkiem, jako powieściopisarz, który czerpał swoje natchnienia w pierwszym rzędzie ze źródeł szczerej miłości ojczyzny. Po pierwszych powieściach „La fontana de oro“ i „El Audaces“ — wystąpił w roku 1871 z wzorowanymi na słynnych opowieściach Erckmann'a — Chatriana — Epizodami narodowymi (Episodios nacionales). Bohaterskie walki narodu hiszpańskiego przeciwko wojskom napoleońskim, oraz czasy walk partyj liberalnych z Ferdynandem VII — dostarczyły mu tematu do dwu serji tych opowiadań, zamkniętych w pokaźnej liczbie około trzydziestu tomów. Jako pisarz narodowy jest on w Hiszpanji niezmiernie popularny. Z całego szeregu jego utworów późniejszych, wymienić należy przedewszystkiem powieść „Donna perfeta“, którą krytyka literacka uznała za najlepszy utwór Galdosa i która, przełożona na różne języki europejskie — rozniosła jego sławę po świecie. Dramat „Electra“ — przedstawiony 31 stycznia r. b. na scenie „Teatro Espanol“ w Madrycie i przyjęty entuzjastycznie przez publiczność stał się, jak wiadomo, hasłem do manifestacji antyklerykalnych.

Ideą dramatu jest walka pomiędzy młodem życiem, tęskniącem do miłości i swobody, do prawdziwego życia z jednej strony, a ślepym fanatyzmem, który chce te porywy ujarzmić, okiełznać i zakuć w pęta urojonych obowiązków, z drugiej.

Bohaterka dramatu Electra — młodziutka siostrzenica Urbana i Ewaryssy Yuste'ów; wychowująca się po śmierci matki w ich domu — już od wczesnego dzieciństwa okazuje charakter, który napełnia jej opiekunów trwogą. Spragniona wolności i życia, powietrza, światła i ruchu - dusza jej nie harmonizuje wcale z duszną atmosferą tego domu, gdzie wszystko jest zimne i przesiąknięte trwożącym mistycyzmem, gdzie rząd dusz sprawuje stary przyjaciel rodziny Yuste'ów — Pantoja, fanatyk i jezuita w sercu, mimo że niegdyś, za młodu wiódł żywot bardzo wesoły.

I wtedy za młodu ów Pantoja miał również przelotny stosunek z matką Electry — Eleuterją, kobietą bardzo smutnej sławy, która ostatnie swoje lata spędziła w klasztorze, aby tam na modlitwie i umartwieniach zyskać odpuszczenie grzechów zbyt wesołego życia. Teraz rodzi się w duszy starca obawa, czy Electra nie jest jego dzieckiem... Surowy fanatyk dręczy się tą myślą, dręczy się świadomością grzechu, jaki popełnił wobec matki Electry, trwogą o los dziewczęcia, o to czy ten kwiat cudowny ale wyrosły z zepsutego gruntu — zdoła się oprzeć zwycięsko pokusom, czyhającym nań na nieprawych drogach świata...

Z dniem każdym rosną te udręczenia w napół obłąkanej duszy starca, zatruwają mu każdą chwilę niepokojem. I postanawia, że dla szczęścia Electry, dla zapewnienia jej życia wiecznego — należy oddać ją do klasztoru, kędy dusza jej znajdzie przystań pewną i bezpieczną, a modlitwy jej — przyczynią się do odkupienia win matki.

Obawy Pantoi podziela też niejaki Cuesta, bogaty ajent giełdowy, który umie nabożnym swoim klientom zapewniać znaczne dochody, przechodzące później zresztą w sporej części na rzecz rozmaitych zakonów duchownych. Dzieje się to za suggestją przebiegłego Pantoi. Cuesta, tak samo jak Pantoja, zamłodu miał przelotny stosunek z matką Electry, tak samo jak i on dręczy się dzisiaj wyrzutami nawróconego sumienia. I obaj teraz pracują wspólnie nad uchronieniem dziewczęcia od możliwych pokus, krwawiąc i jątrząc jej serce brutalnem, choć zamkniętem w łupiny miłości — odsłanianiem owych mrocznych tajemnic.

Ale Electra gdzie indziej widzi wschodzącą gwiazdę swego szczęścia. Pośród osób, które ją otaczają, jest daleki jej kuzyn, inżynier-elektrotechnik, Maksymiljan, człowiek nawskróś nowoczesny, dzielny, o szlachetnem sercu, jaskrawo odbijający od średniowiecznego tła domu Yuste'ów. Electra kocha swego kuzyna i w połączeniu z nim, a nie w klasztorze, widzi cel życia. To powoduje zaciekłą walkę między własno-wolnymi opiekunami dziewczęcia a Maksymiljanem; walka ta jest istotną osnową dramatu, a rozgrywa się właściwie tylko pomiędzy Pantoją i inżynierem, bo słaby pozbawiony charakteru, Cuesta, wkrótce znika z widowni. Jak się dowiadujemy — umiera, zapisując domniemanej córce połowę swego majątku, z warunkiem wszakże, aby ona poświęciła swe życie celom religijnym.

Występuje jeszcze w dramacie niejaki markiz de Roudu, stary światowiec, ulegający w chwili — gdy go poznajemy, zupełnie wpływom swej sfanatyzowanej również religijnie żony, ale który później, poddając się zwolna Maksymiljanowi, przechodzi na jego stronę, staje się jego przyjacielem i powiernikiem.

I pomiędzy tymi ludźmi rozgrywa się walka. Pantoja wierny zasadzie, że wielki cel uświęca środki — w środkach nie przebiera. Gdy pomimo cały swój wpływ na prawych opiekunów Electry, mimo wszystkie podstępne knowania nie może się oprzeć zaręczynom Electry z Maksymiljanem, wreszcie chwyta za broń ostatnią i w rozmowie z uszczęśliwionem dziewczęciem wyjawia jej, że między osobami z któremi jej matka, owa Eleuterja, miała stosunki — znajdował się również i ojciec Maksymiljana, że więc młody inżynier jest bratem Electry, a wskutek tego małżeństwo stanowczo niemożliwe. Ta wiadomość spada jak grom na duszę Electry — dusza jej nie ma dość siły, aby z nieszczęściem walczyć. Electra traci zmysły z rozpaczy.

W ostatnim akcie, piątym, widzimy ją w kla-

sztorze gdzie została zamkniętą po przyjściu do zdrowia. Pantoja tryumfuje. Młoda dziewczyna jest całkowicie pod wpływem jego i przełożonej i napróżno walczy ze swem sercem, chcąc w niem ból zagłuszyć, chcąc się zmusić do, braterskiej tylko dla Maksymiljana miłości. Maksymiljan z de Roudą, wykonawcą testamentu Ceuty i z wujowstwem Electry, przychodzą do klasztoru, aby jej ostateczną odpowiedź usłyszeć. Pantoja święci ponowny tryumf, gdyż Electra klasztoru porzucić nie chce. Wtedy Maksymiljan z pomocą de Roudy i siostry Doroty postanawiają ją uprowadzić. Gdy przyszli po nią, w duszy jej rozgrywa się ostatnia walka, jeszcze się waha i dopiero, ukazująca się jej wizja matki, rozstrzyga jej niepewności. Electra opuszcza z Maksymiljanem klasztor.

Taka jest treść dramatu, który przez czas pewien elektryzował publiczność madrycką i w ostatecznej konsekwencji stał się przyczyną manifestacji ulicznych. Jako utwór artystyczny Electra wartości wielkiej nie posiada, przestarzała budowa dramatu nie zapewniła by mu powodzenia na innych scenach europejskich. Entuzjazm, jaki Electra budziła w Madrycie, czem innem tłómaczyć należy: po części niesłychaną popularnością samego autora a następnie i przedewszystkiem owem rozgoryczeniem, które się układa w sercu, jak materjał wybuchowy i potem kilka iskier wystarcza, aby strzeliło płomieniem... *P.*

12)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Gwar i zamieszanie wzrastały z każdą chwilą. Chodowie kłócili się i zmagali wzajemnie, bo jedni chcieli zdać się na łaskę panów i prosić o przebaczenie, inni zaś wrzeli pragnieniem boju. Stronnictwo walki było jednak słabsze. Na czele jego stał Przybek. Popierali go najdzielniej, zasypując przeciwników gwałtownemi słowy, - burzliwy Brychta i młody Szerłowski. Spór toczył się z takiem zapamiętaniem, głosy brzmiały tak donośnie, że nikt nie słyszał nawoływań przednich straży, które żywemi ruchy wskazywały piętrzące się nad Ujazdem wzgórza.

Nagle jednak wrzawa głosów ucichła na Hamrach. Piorun ryknął w chmurach, raz — drugi — trzeci — a jednocześnie w lesie ozwało się echo działowych strzałów... Tak, to armaty! Trzy grube cielska czarne widnieją tam dalej. Wytoczono je na wzgórze nad Ujazdem i skierowano ich paszcze ku Hamrom. Białawy dym od wystrzałów przewala się i wije nad uboczą. A dookoła dział mnóstwo wojska. Część jego poczyna już w dół zstępować. I na gościńcu też jeźdźców przybyło. Aż się mrowi od nich... Posiłki nadciągnęły widocznie...

— No i jakoże, chcielibyście jeszcze wojny! — pytał Syka, tocząc spojrzeniem po skamieniałych Chodach i wskazując ręką wojsko, które szło, jak do ataku.

— Milcz! Powiedziałech ci raz! — wołał Przybek. — Niczego się nie bójcie! — Kto ma krew chodzką w żyłach, za mną!

Wielu rzuciło się, chcąc go powstrzymać, jego i jego zwolenników.

— Ostawcie ich! niech idą prosić — krzyczał młody Szerłowski. Pódźcie ku nam, hań lepiej się obronimy, aniżeli tu z tymi...

— Pódźcie! Hań, do Poczynowic. Pódźcie!

Maciej poskoczył ku chorągwi i jednem szarpnięciem wyrwał ją z ziemi.

W tej samej chwili wyrostek jakiś nadbiegł z Hamr do lasu, na węglowisko. Skupieni na niem ludzie spoglądali z troską w zachmurzone niebo, które cieniem swoim i las zamroczyło. Wiatr huczał między drzewami, zwiastując burzę. Przed nią skryć się usiłowali wszyscy, nie spodziewając się nic gorszego na razie, gdy zjawił się nagle wyrostek i dopadłszy pierwszych z brzegu, jął wołać, że wrócili wysłańcy z Pragi: Syka, Pajdar i Brychta, inni zaś nie przyszli, bo zamknięto ich w więzieniu prazkiem.

Bolesny, rozpaczliwy krzyk przeszył powietrze.

Wszystkie spojrzenia pobiegły ku Hance, która stała z załamanemi rękami, głośno płacząc Kobiety otoczyły ją wnet przyjaznem kołem, starając się uspokoić i pocieszyć.

— Kaz bedom, Pajdar i Syka? — pytała chłopca stara matka Jana. Oczy miała suche, jeno twarz jej skurczyła się i pożółkła nagle. A ponieważ chłopak wskazywał w kierunku Hamr, więc puściła się ku nim, jak strzała.

U ściany lasu przystanęła nagle. Od Hamr zdążał ku niej zastęp górali. Na czele ich kroczył Maciej Przybek, mając z lewej strony Brychtę, z prawej Szerłowskiego z chorągwią w ręku. Biały sztandar chodzki szumiał burzliwie i szarpał się nad ich głowami. Reszta górali pozostała w Hamrach, gdzie słychać było wyraźnie grające w Ujeździe bębny i trąby.

Z pocztu Macieja odłączył się natychmiast Iskra i podbiegł do matki przyjaciela.

— Źle słychać — mówił spiesznie — wojska chmara, a nasi chcą prosić przebaczenia.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi starej kobiety

— I cóż na to Maciej?

Kobziarz odpowiedział, że wraz z wiernymi sobie góralami zamierza ustąpić do Poczynowic.

— A prawdaż to, że Jan i inni zamknięci?

Iskra skinął z westchnieniem głową.

— I te baby hań chcą żebrać zmiłowania! — zawołała z uniesieniem stara kobieta, grożąc zaciśniętą pięścią w kierunku Hamr, skąd właśnie wyprawiano deputację do starosty, który otrzymał był posiłki: trzy działa, granatniki — wraz z licznym oddziałem piechoty i jazdy pod wodzą hrabiego Stampacha i pana Steinbacha z Königsfeldu.

Po chwili drużyna Przybka była już na węglowisku. Powstało tu wielkie zamieszanie i trwoga, gdy usłyszano o tem, co zaszło. Kobiety zaklinały z płaczem mężów, aby nie odchodzili, aby nie ostawiali ich samych w lesie. Inne znowu chciały koniecznie towarzyszyć im do Poczynowic.

Hanka jednak nie zwracała żadnej zgoła uwagi na to, co się dookoła działo. Siedząc pod drzewami, u swego ogniska, garnęła dzieci ku sobie. Te wieści, te straszne wieści! Uwięziony — w ciemnicy! Biedny! Czemuż nie chciał zostać w domu, w górach... Przepowiadała mu. — Oh, i teraz wie, z zupełną pewnością wie, że już nie wróci... Dzieci, nieszczęsne dzieci!..

I znowu płakać zaczęła gradem łez, a bujne krople cicho padały na tulące się do niej główki Pawełka i Hanusi.

(C. d. n.)

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Latem przejazd przez Angarę w Irkucku odbywał się na promach, zwanych „Samolotami“. Prom taki na rzece nie jest posuwany wzdłuż liny, przeciągniętej z jednego brzegu na drugi, jak to ma miejsce na rzekach naszych, lecz natomiast porusza się wolno, na linie, przytwierdzonej po środku rzeki do łodzi krytej, stojącej tutaj na ciężkich kotwicach. Szereg cały mniejszych, krytych łodzi podtrzymuje ciężar liny, i wraz z nią może się poruszać w poprzek rzeki, opisując łuk koła. Prom, uczepiony do końca liny, skoro zostanie skierowany od brzegu sterem, znajdującym się na nim, daje się unosić prądowi rzeki, zrazu powoli, następnie coraz szybciej i zakreślając łuk koła, którego promieniem jest lina, dobija do przeciwległego brzegu. Do obsługi promu wystarcza dwóch ludzi, z których jeden kieruje sterem i przy jego pomocy zwalnia lub przyśpiesza pęd promu, zaś drugi uczepia go do brzegu przy wylądowywaniu.

„Samoloty“ były dawniej w użyciu na wszystkich większych rzekach Syberji, gdyż do czasu budowy koleji syberyjskiej żadna z rzek takich nie posiadała mostów; gdy przewożono dawniej partję deportowanych, komunikacja przez rzekę ustawała na czas dłuższy. Passażerowie, poczta, transporty towarów stawały zwykle w pewnej odległości od przewozu na rzece i tam, niekiedy godzinami całemi, wyczekiwały na przeprawę partji. Taki wypadek miał miejsce z nami, pod Krasnojarskiem, gdyśmy jechali pocztą. „Jemszczyk“ nasz, czyli pocztyljon, gdy usłyszał od przejezdnych, że mają przewozić aresztantów i że już przeprawa wstrzymana, zwrócił konie z drogi do zarośli nadbrzeżnych, wyprzągł je, uwiązał do wozu, zaczem rozłożył ognisko. Korzystając z tej okoliczności, zgotowaliśmy herbatę, spożyliśmy wspólnie z praktycznym pocztyljonem śniadanie, i potem jeszcze dobrą chwilę zajęci byliśmy szukaniem owadów, zanim prom oddany został do użytku przejezdnych.

Mieszkańcy okoliczni, z pobliża przewozów, z gniewem nietajonym odnoszą się do deportowanych za taką mitręgę w podróży; ten gniew Sybiraków mieliśmy nieraz sposobność doświadczać na sobie. Pamiętam np. przeprawę naszą pod Irkuckiem, uskutecznioną w dzień mroźny, listopadowy. Na nieszczęście mieszkańców kilka naraz partji wygnańców przybyło do wsi Zyłkiny pod Irkuckiem; wypadek ten był spowodowany oczekiwaniem wzdłuż traktu pocztowego na przejazd wielkorządcy Korsakowa, który wraz ze swą metresą spieszył wtedy do stolicy państwa, na święta Bożego Narodzenia. Wstrzymano więc partje zesłanych do czasu, zanim przejazd generał-gubernatora się uskuteczni, a potem pchnięto je raptownie wszystkie ku miastu. Od samego już świtu rozpoczęła się akcja przewozu. Ja się nie spieszyłem z przybyciem do więzienia Irkuckiego, które miało wtedy renomę kaźni, najwstrętniejszej w całej Syberji wschodniej. Zarządzał nią despotycznie ekspolak, oberpolicmajster, pułkownik „Dumański“. Przyjmując prawosławje, zmienił on literę **o** swego nazwiska na **u**, w celu, ażeby brzmienie było czysto rossyjskie, i szczęśliwie, że się tak stało, bo w ten sposób nie szargała się przynajmniej polska nazwa po śmietniskach ówczesnego zarządu więzieniami na Syberji. Żona pana pułkownika, rossjanka z urodzenia, wychowanka Puław, pełniła zaszczytny urząd metresy wielkorządcy i wraz z nim spieszyła „kurjerskimi“ na zachód, zaś w mieście Irkucku panował szczęśliwy, prawy małżonek, dumnej ze swego wysokiego stanowiska niewia-

sty, podziwianej i otaczanej zazdrością przez wszystkie ówczesne piękności miastowe, brzemiennej nadzieją zostania generał-gubernatorową wschodniej Syberji, nie zadarmo wszelako, lecz za grubą sumę odstępną i tytuł generała dla pierwszego małżonka. Nie śpiesząc się tedy do Irkucka, byłem obserwatorem i dalekim świadkiem tego, co się działo u przewozu, należałem też do ostatnich przewożonych, co miało miejsce już późno wieczorem. Dzień przeto cały, komunikacja dla Irkuczan była wstrzymana z powodu naszego przybycia. Gniewne tłumy czekały na wybrzeżu w mieście i spotykały każdy nowy transport więźniów połajaniami narodowemi, patrjotycznemi; do nich dodawano nowe z Rosji europejskiej przewiezione, jeszcze bardziej wulgarne i plugawe. Logika tłumów jest wszędzie ta sama, upatruje przyczynę złego lub dobrego w przedmiocie najbliższym. Wszak nieraz się zdarzało, nawet i na Syberji, gdzie wszakże lud jest o wiele logiczniejszy niż w Europie, że palono żebraka, lub żebraczkę — bo w ciągu paru miesięcy z rzędu nie padał deszcz w danej okolicy.

W umyśle prostaków, wszelkich kultów i wszelkiej kultury, musi, jakkolwiek niejasno i po części bezwiednie — świtać chyba myśl, że np. paląc czarownicę, sprawia się wielką przyjemność Bogu, za którą to przyjemność zapłacić zniewolony będzie deszczem obfitym. Kto wie, czy nie taka sama logika tkwi bezwiednie w umysłach barbarzyńców europejskich, stojących dzisiaj na tak zwanych najwyższych szczeblach cywilizacji. Jeżeli to prawda, co oni powiadają, że wierzą w opatrzność, to chyba ich postępowania inaczej zrozumieć nie można, jak przyjąwszy to przypuszczenie, że czynami barbarzyńskiemi swymi, myślą sprawiać Bogu wielką przyjemność.

Z pism i książek.

Jan Nałęcz Rostworowski: „Wspomnienia z r. 1863 i 1864“. Kraków. Spółka wydawnicza 1900 r.

Jednym z najboleśniejszych objawów naszego życia narodowego jest ten brak ciągłości w rozwoju umysłowym i społecznym, brak, dzięki któremu nieraz jednostki i grupy szamocą się, tracą zapasy energji — po to, żeby odkryć w końcu Amerykę już odkrytą. Brak ten nie każdemu rzuci się w oczy; stan zaślepienia twórczego jest na ogół bardzo wygodnym, i nie każden odczuje radość, gdy ze starych kart wyczyta myśl, którą piastował, jako owoc najdroższy swej walki duchowej, nie każden ból, gdy mu wyobraźnia postawi przed oczyma stargane ogniwa myśli narodowej.

Niepowodzenie roku 1831, nadwerężyło ogniwa rozwoju pojęć o naszem życiu państwowem, o stanowisku Polski względem zachodu i wschodu, o zadaniach naszego rozwoju społecznego i kulturalnego. Nadwerężyło tylko, powiadamy, bo spojono je na nowo, bo emigracja wydała szkołę ks. Adama Czartoryskiego z jej polityką zagraniczną, wydała literaturę romantyczną z jej pojęciem Rosji, bo rok 1863 nareszcie trzymał się gruntu tradycji narodowej.

Katastrofa roku 1863 — ogniwa te zerwała prawie. Życie pokoleń przed nią i po niej — zostało przedzielonem, jak gdyby przepaścią nieprzebytą.

I przeminęła reakcja popowstaniowa, przeminął ruch pozytywistyczny, a jednak przepaść pozostała nie zasypaną. Jeszcze dziś czujemy, z jaką bezwładnością walczyć wypada, chcąc przekonać ludzi, że życie nasze umysłowe, że aspiracje nasze społeczne nie kończą się wstecz na roku 1863, nie zaczynają się od ruchu pozytywistycznego i początków socjalizmu. Zdobędą się co najwyżej na parę oklepanych ogólników, na pochwałę naszej demokracji szlacheckiej, ale szczerego zainteresowania nie zdobędziemy ani krzty. Na szczęście zainteresowanie nie jest wytworem przekonywania czy to grup, czy jednostek, jest raczej odruchem, wywołanym przez podkład psychiczny, który one ze sobą przynoszą. I ktokolwiek choć chwilę potrzymał rękę na pulsie młodszych pokoleń inteligencji naszej — widzi, że instyktownie zawracają one ku czasom przedpowstaniowym, ku samemu ruchowi roku 1863 nareszcie.

Lecz skąd zaczerpnąć tego świeżego powietrza, skąd nabrać wyobrażeń o tem życiu tak różnem od współczesnego? Tradycja ustna?

Ta stargała się za prędko, mało miała żywotności, w zaraniu rozwoju zmroziła ją ta silna, nieznana po r. 1831 reakcja. Pisma uczestników powstania? I to nie: jakiż to mamy plon w porównaniu z rokiem 1831, z pracami Mochnackiego i Barzykowskiego, z pamiętnikami Karola Różyckiego i Dembińskiego. Ale wtedy burza powstaniowa targnęła tylko wierzchołkami lasu, nie złamała, nie wyrwała z korzeniem tylu drzew najpiękniejszych. Wtedy — wydawało się wszystkim, że z kapitału żywotności narodowej, na walkę drobnych tylko użyliśmy odsetek, zaraz po złożeniu broni mamy partyzantkę Zaliwskiego. Po roku 1863 inaczej, tu było podobnie jak po roku 1812, gdy po Listach litewskich Niemcewicza — pojawiła się Myśl o równowadze europejskiej — Staszica, po szalonem napięciu sił narodowych — poczucie zupełnej bezsilności, zupełnej przegranej. Reakcja po r. 1863 jest straszną, godzi ona w podwaliny dotychczasowe życia naszego narodowego, wstrząsa pojęcia, których nikt na zachodzie poruszać się nie ośmiela. Wysiłek bohaterski, tak zapładniający życie, tak organicznie związany z dzisiejszemi naszemi dążeniami — jest wyklętym, wyrzuconym po za obręb myśli, marzeń, pomysłów artystycznych nawet. Opracowania tych czasów będą to aż po dzień dzisiejszy — programy dla powstania po powstaniu spisane, akty abdykacji narodowej nieraz, a rok 1863 w dziedzinie literatury pięknej da tylko taką Omyłkę — Prusa... I za postęp znaczny uważać wypadnie fejletonowe nieomal prace p. Z. L. Sulimy o tych czasach, bo on, przynajmniej dla uczynienia zadość swej gadatliwości notuje fakta nieodpowiadające nieraz jego historjozofji.

Niema nic prawie: parę tomów wydawnictwa: „Materjały do historji powstania r. 1863“, prace Salimy, wynurzenia Koźmiana, z dawniejszych — niedokończone

dzieło Gillera, wydawnictwa „Ojczyzny“ w Bendlikonie, garść luźno wydanych pamiętników, ot i wszystko. Pozornie wydawaćby się mogło, że rok 1863 więcej wrył się w pamięć wroga naszego, bo tam mamy dobre dzieło Berga, a każdy niemal zeszyt pisma „Russkaja Starina“ przynosi nowe pamiętniki, przyczynki. Do nich coraz częściej uciekać się wypada, jak wogóle w historji naszej porozbiorowej.

Dlatego z radością witamy każde nasze nowe wydawnictwo na tem polu, powitaliśmy nawet urywkowy, pełen niedomówień pamiętnik komisarza województwa Podlaskiego — Romana Rogińskiego, witamy szczery, barwny pamiętnik trzeciorzędnego uczestnika powstania Rostworowskiego.

Jest to pamiętnik szczery, bardzo szczery. Pamiętniki takich podrzędnych jak Rostworowski działaczy, spisywane po powstaniu, rzadko kiedy odznaczają się tą zaletą. Ludzie są ludźmi, na chwilę porwie ich moment historyczny, żyją jakiemś podnioślejszem, szybciej spalającem życiem, są wyżsi wtedy od samych siebie. Gdy piszą potem, piszą często tak, jak Kiliński pisał swój drugi pamiętnik, — ze stanowiska szewca. Rostworowski nie ma tej wady, miał żywszą, szlachetniejszą wyobraźnię.

Pamiętnik jest barwny. Daje nam obfitość szczegółów do pochwycenia fizjonomji obozu powstańczego, do odtworzenia sobie psychologji oddziału, który pierzcha przy pierwszem starciu, a potem, pod koniec bije się z temperamentem godnym bohaterów Olszynki: pod Malinówką trzy razy odbiera atakiem na bagnety wzgórze stanowiące klucz pozycji, utrzymuje się na niem w końcu, posyłając cofającemu się nieprzyjacielowi grad kartaczy z jego własnych dział. Co za szereg postaci przesuwa przed nami autor pamiętnika, postaci odmalowanych z takiem życiem, że uzyskają raz na zawsze prawo obywatelstwa w naszej pamięci. To — Lerbas, żyd, dowódca pociągów w oddziale Krysińskiego, którego talent w tym kierunku ujawni powstanie tak samo, jak ujawniło talent policyjny Karłowicza; to wiarusy „bandy“ Rostworowskiego — z ich rozmowami o Polsce przy ognisku, z ich konceptami rubasznymi; to wachmistrz Turaliński, stary wyga, zaprawiony do wojny na Kaukazie, a teraz mszczący się na oficerze kozackim za zabicie konia, (A nieszczęście! ta psia wiara takiego konia zabiła! jego ogon wart był więcej jak twoja cała familja); to ten powstaniec, który dla dodania sobie animuszu wykrzykuje „niech żyje ojczyzna“, trafiony równocześnie kulą, dodaje: „a niech cię djabli wezmą razem z ojczyzną“! — to wielu wielu innych.

Zaczynamy wtedy odtwarzać sobie w wyobraźni te postacie dziwne, tych awanturników z temperamentu, włóczęgów po całym świecie z musu, od których roiło się wówczas w naszem społeczeństwie, które nadały tę moc wyjątkowo organizacji wojskowej ostatniego powstania, a które dziś znikły, jak znikły typy małomiasteczkowe Klemensa Junoszy.

Autor w historjozofję się nie bawi. Czytelników odsłał na wstępie do Aspiracji porozbiorowych Wrotnowskiego, a sam członek organizacji białych, „podzielający opinję Dyrekcji“ — poszedł do obozu „bo czas rozprawiania minął z dniem wybuchu; czy powstanie było silne, czy słabe, obowiązkiem każdego Polaka było popierać je“. Ten prawy instynkt obywatelski, ten temperament szlachecki — pokierują nim i w obozie, odsuną od sztabu, od kwater wygodnych, zrobią z niego w ciągu tygodnia żołnierza. I nie dość na tem. Tacy ludzie, jak Rostworowski, odegrali w każdym naszym ruchu narodowym, tak samo dobrze, w pierwszych legionach włoskich, jak potem w wojnie węgierskiej r. 1848, w powstaniu r. 1863 wreszcie, rolę demokratów czynu, nauczycieli przy ognisku obozowem. „Odtąd, pisze on, oddałem się zupełnie mojej małej komendzie, w wolnych chwilach czytywałem im opowiadania z żywotów świętych, lub historji polskiej, a nawet czytać i pisać ich uczyłem“. To cegiełka z tej pracy obozowej r. 1863, przypominająca Cyprjana Godebskiego w Mantui, legjonistów z Lidibel Abbaz w Algierze. Wszędzie to samo. „Ciągłe obcowanie, dzielenie niebezpieczeństw i trudów wyrobiło między nami najsilniejsze może z węzłów, braterstwo broni, jedyne, które jest w stanie zatrzeć różnice wychowania, nawyknień i wykształcenia“. W tem skupieniu obozowem odżywa dawna, polska tradycja żołnierza. Tak samo jak w r. 1807 przy ognisku obozowem młody porucznik Dezydery Chłapowski zauważył, że żołnierze przechowali tradycję „naczelnika“ i r. 1794, zachowali swe dawne piosnki żołnierskie, swą polskość, którą z ziemi włoskiej przenieśli nienaruszoną do Polski, tak samo i tutaj, tak samo ożywia się i kiełkuje myśl narodowa, bo czyn, bo chwila, robią nieraz to, czego dziesiątki lat nie są w stanie dokonać.

Rostworowski — to przedewszystkiem ten ginący już dziś typ szlachcica żołnierza, nawet w sposobie obrazowania wypadków. Tak samo jak Paska — uderzy go najsamprzód banalna, zewnętrzna strona wypadków, tak samo jak Pasek — z zamiłowaniem pisać będzie o swych koniach, nie ma tylko blagi Paska. Tak samo jak gen. Dezydery Chłapowski — autor — opowiadanie swoje przeplata uwagami czysto wojskowemi, czyniąc to jak gdyby z wewnętrznego przekonania, że to się kiedyś przyda, że ostatecznie tylko z bronią w ręku odebrać można Ojczyznę.

Z pewną przykrością zamykamy tę książeczkę, jest za szczupłą. Ale za to na chwilę autor przeniósł nas w ten świat obozowy — i jego postacie nie wyjdą nam tak prędko z pamięci.

Wacław Tokarz.

St. Żeromski: Promień. Warszawa 1900. Wydanie II.

Tom ten jest tylko powtórnem wydaniem dawnych nowel. Wszystkie one: epopeja górska „Żołnierza tułacza“, „Tabu“, „Cienie“, „Legenda o bracie leśnym“, wreszcie bolesny „Promień“ — kolebka późniejszych „Ludzi bezdomnych“ — są już znane czytającej publiczności i na tem miejscu były omawiane. To też obecnie ograniczamy się do krótkiej wzmianki, notując nieczęsty w naszych literackich stosunkach fakt drugiego ich wydania. *t. s.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.